









597

Pietkiewicz

Adam Ptug. Władysław Syrokomla.

(Bibl. Warsz. 1862, t. II, grudzień)





# WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

## WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

PRZEZ

*Adama Pługa.*

Poznałem Syrokomlę około 1840 r. w Załuczu, dokąd w tym czasie rodzice jego przenieśli się na dzierżawę z Morchaczewszczyzny wraz z nim i dwiema jego siostrami (1). Moja rodzina mieszkała wtedy w Żukowym Borku o parę wiorst od Załucza odległym i rychło z nowymi sąsiadami zawiązała przyjacielskie stosunki. Z razu nie wiedziałem o pisarskich zdolnościach Władysława, choć bardzo łatwo spostrzegać się dawało poetyczne jego usposobienie w rzewnej jakiejś tęsknocie, rozlanej po wdzięcznej młodzieńczej twarzy, w zadumaniu głębokim i roztargnieniu, z których nieraz nagle przechodził do pustej, dziecięcej prawie wesołości i żartów. Ale w święta

(1) Syrokomla urodził się 1823 r. 17 września, we wsi Smolkowie, powiecie bobrujskim, z ojca Alexandra i matki Wiktorii ze Złotkowskich. Początkowe nauki pobierał w szkołach dominikańskich, w Nieświeżu, które gdy w listopadzie 1835 r. zostały zamknięte, w Nowogrodku piątą klasę ukończył. Brak dostatecznych funduszy, znaczna odległość od miejsca pobytu wyższych naukowych zakładów, stanęły na przeszkodzie spragnionemu nauki młodzieńcowi, do uzupełnienia jej w szkołach publicznych; ale nie oderwały go od niej w progach domowych, gdzie pod opieką światłego ojca, niepospolitego znawcy łaciny, sam nad sobą gorliwie i skutecznie pracował.

7627

<http://rcin.org.pl>

jakieś, na które z bratem swoim ze szkół przyjechałem do domu, zamarzyliśmy o amatorskim teatrze, w którym obadwa mieliśmy wystąpić jako aktorowie. Syrokomla miał w tém nam dopomagać wraz ze swemi siostrami i odpowiedniej sztuki dostarczyć. Jakoż dał nam komedię w rękopiśmie, p. t.: „Panna-Waryatka”. Teatr nie przyszedł do skutku, lecz na wyjeźdnym do szkół odebraliśmy od Władysława rzeczoną komedijkę w własnoręcznym jego odpisie, z przyjacielską dedykacją i listem, który stał się pierwszym ogniwem długiego łańcucha późniejszej korespondencyi, jaka nas oddalonych od siebie, przez lat tak wiele wiązała, a który, dzieciak szesnastoletni, zachowałem starannie, jakby w wiecznym przecuciu, że z czasem on mi się stanie nietylko świętą pamiątką po przyjacielu, ale i szacownym autografem po mężu znakomitym, ulubieńcu całej krainy! Oto są jego wyrazy:

„Gdyby projekt nasz co do teatru przyszedł do skutku, nigdybyście nie wiedzieli, że sztuka nędzna, którą gramy, jest jednym z moich gryzmołów, z francuzkiego przetłumaczonych. Teraz mimo szczerzej ochoty zatajenia tego, o czém wiedzieć nie warto, chęć zostawienia choć błahęj pamiątki tak mile z wami przepędzonego czasu, kazała mi wydać tajemnicę”.

Odtąd już, ile tylko razy przyjechałem na ferye szkolne do Żukowego Borku, zawsze miałem przyjemność poznania jakiejś nowój pracy Syrokomli; ale to wszystko były tylko przekłady, w które pod one czasy teka przyszłego wieszczka niezmiernie obfitowała, a które chociaż z nich żaden nie ujrzał Bożego świata, wielce się przyczyniły do nabycia téj łatwości, téj niezrówanéj swobody i wdzięku wersyfikacyi, jaką w poezjach jego dziś podziwiamy. Jeden tylko utwór oryginalny czytał mi w owym czasie p. t.: „Zawitka”, do którego treść mu podały przesady gminne; a musiały w nim być już ślady niepospolitego talentu, gdy aż do dziś dnia tkwią mi w pamięci niektóre z niego obrazy, pełne prawdy i barwy ludowej.

W 1841 roku Syrokomla przeniósł się do Nieświeża, gdzie przyjął obowiązek w głównym zarządzie dóbr ks. Wittgensztejna. Tam, dość mając zajęcia w biurze, nie zaniedbywał pracy nad sobą, nie rzucał pióra. Biblioteka



dominikańska dostarczała mu dzieł poważnej treści i klasyków polskich, których językiem z czasem tak pięknie nauczył się władać; Konrada Wallenroda, Grażynę, Dziady, Ballady, poezye Odyńca, znał jeszcze z domu; a z okolicy chwycił, co mu tylko pod rękę wpadło: *Radegasty*, *Bojany*, *Melitelle*, *Rusalki*, *Znicze*, *Niezabudki* i t. p. noworoczniki, które tak na młodzieńczą wyobraźnię naszą działały, żeśmy nie żartem sami o wydaniu jakiejś *nad-niemeńskiej niezabudki* myśleli. Z czasem przyszła kolej na *Obrazy litewskie Chodźki*, na *przekłady Odyńca*, na *Halszkę*, *Witoloraudę*, *Szatana i kobietę*, na powieści *Kraszewskiego*, *Grabowskiego*, *Szyrmera* i *Dycalpa*, na *Wizerunki naukowe*, na *Tygodnik petersburski* i *Athenaeum*. W piśmiennictwie krajowém coraz to żywszy ruch się dawał spostrzegać, a Syrokomla choć go nie mógł śledzić systematycznie, przecież bodaj niektóre objawy jego spotykał i umiał z nich korzystać, zwłaszcza w Nieświeżu, gdzie na jarmark św. Michalski Glücksberg rok rocznie księgarnię swą wysyłał. Z Krakowa, Lwowa, Poznania, a nawet po części i z Warszawy nie wiele do nas rzeczy się dostawało, jednak kiedy niekiedy udało się nam złapać *Przyjaciela Ludu*, z którego urywkami poznawaliśmy *Pamiętniki Soplicy*, *Klechdy* i *stare gawędy* Wójcickiego.

W głównym zarządzie dóbr ks. Wittgensztejna byli pod one czasy: Jan Rychter, Michał Kątkowski i Adolf Dobrowolski, z którymi obcowanie zapewne że nie małą korzyść Syrokomli przyniosło. O p. Rychterze tak w jednym ze swoich listów pisze:

„Poszedłem do p. Rychtera zacnego starca, który, pochlebiam sobie, że mię lubi i przesiedziałem tam do późna, bo ty wiesz, że ja lubię literackie rozmowy, a tam była rozmowa o samej literaturze. Starzec za młodu był literatem, członkiem Towarzystw naukowych; łatwo się więc domyślisz, że musi być zabity klasyk. I w istocie, powtarza z Osińskim: „ciemno wszędzie, głupio wszędzie!” nazywa literaturę romantyczną literaturą nianiek, i twierdzi, że gdyby jego furman umiał pisać, więcéjby w nią celował, jak cała kompania dzisiejszych znakomitości. Mnie tylko jednemu wolno mówić na obronę nowszych idei, odemnie przyjmuje bez ofuknienia uwagę, że nie

Stanisław August, ale duch czasu przyczynił się do obudzenia piśmiennictwa w Polsce w XVIII stuleciu; że Krasicki, Naruszewicz i inni, jakkolwiek udarowani geniuszem, nie byli poetami, a tylko naśladowcami Boalów, Kornelów, Rasynów i kompanii, o której już wtedy i we Francji zapominano; żeśmy nic nie stracili, skierowawszy piśmiennictwo od nieodpowiadającego naszym potrzebom naśladownictwa Greków, Rzymian i Francuzów do rzeczy krajowych; że piosnki gminne są to rapsody, z których ręka mistrza może usnuć Iliadę słowiańską; że Homer tak dobrze jest romantykiem jak Mickiewicz, bo opiewał rzeczy narodowe, według ówczesnych wyobrażeń w myśl ówczesnej wiary i t. d.”

Urywek ten jest z daty 21 stycznia 1843 r., a w nim widoczne ślady nie tylko tego, jaki charakter miały stosunki Syrokomli z Rychterem, lecz razem i dowód, że już w owym czasie młody poeta dość miał i czytania i sądu samodzielnego.

Pisał w tym czasie wiele, ale tylko dla siebie i dla kolegów, nie marząc o autorskich wawrzynach, jak sam o tym powiada, w liście z d. 30 października: „Co do mnie, ja piszę, a piszę; rój mam już dziełek, ale to domatory; nie myślę ich prezentować światu: tobie jednemu mógłbym powierzyć moje literackie tajemnice”.

W tymże liście znajduje się wskazówka, jaki głównie kierunek dotychczasowe utwory jego miały:

„Szał pisania w guście humorystycznym jednocześnie nas opanował. Ja z tego względu wyszedłem tu na formalnego poetę, chociaż Bóg widzi, że do tego imienia nie mam ani prawa, ani pretensyi. Lecz słuchaj, jest okoliczność.” Tu opowiada o jednym ze swych kolegów, wielkim oryginale, który był celem żartów całego grona młodych biuralistów, a do którego on swe koncepta zwykle adresował, w imieniu. ś. p. Krysztalewicz, co niegdyś ściśłą miał z tym dziwakiem zażyłość. Dowcipne te a niewinne ucinki nie tylko przez wszystką młodzież, lecz i przez starszych z wielkimi oklaskami przyjmowane bywały. Zwłaszcza jedno powinszowanie, „powszechne” (jak powiada Syrokomla), sprawiło zadowolenie.

Jak ciebie kocham, nie sława na drukowanej karcie! za sto pochwał w dziennikach nie oddałbym jednego *tego* wesołych koleżków! I to mię zrobiło poetą”.

Dalżej znów pisząc o jarmarku św. Michalskim tak się wyraża:

„Nadzwyczaj lubiłem kręcić się pomiędzy sklepami, patrzeć, jak possessorowie, ekonomowie i szlachta targują mydło; notować ich wyrażenia; przypatrywać się rysom twarzy... Mam całą książeczkę takich szkiców, które, ile bazgraczowi z powołania, może się na co przydadzą kiedykolwiek”.

Widoczna więc, że swobodny umysł młodzieńczy, podniecany wesołością kolegów, w tym czasie przybierał kierunek jowialny, którego ślady spotykamy w późniejszych *Wybrykach dobrego humoru*, w *Hrabi na Wątorach*, *Wiejskich politykach*, niektórych scenach *Chatki w lesie* i w mnogich doraźnych wierszykach, rozrzuconych bądź w listach przyjacielskich, bądź na osobnych świstkach.

Wszelakoż w styczniu 1843 r. już napomykał o poważniejszej pracy. Powiada mi: „Gotuję dla ciebie *Zamek Nieświeżski*, żywy i martwy w różnych opisach; ale tego zaledwie jest początek. Tymczasem grzebię w starych papierach i zbieram notatki”.

W marcu tegoż roku znów mi o téjże pracy donosi, nazywając ją *wspomnieniami Nieświeża*. „Będzie to skrócona historia domu Radziwiłłów, linii Nieświeżskiej, od Wojszmida do ks. Wilhelma i Bogusława; dzieje miejsc, klasztorów, zamku nieświeżskiego, rys bytu miasta i t. d., a wszystko w dwóch szczupłych tomikach. Wstęp do tutejszego archiwum zresztą Bóg, praca i dobre chęci pomogą mi. Nazbierałem już ze trzy arkusze notatek; jeszcze to nie wszystkie, jakich mi potrzeba, a z tych co są, jeszcze nie wszystkie dokładne. Zapewne mało tego jak na historią, ale jak na wspomnienie dość. Plan wspomnień taki i tom pierwszy: a) Przemowa. b) Trupy ludzi i trupy miejsc. c) Radziwiłłowie i Nieśwież. Tom drugi: a) Rzut oka na stan miasta dzisiejszy. b) Historia kościołów i klasztorów. c) Zamek. d) Okolice. Mam nadto widoki, któremi się zająć lepszy odemnie rysownik przyrzeka”.

W czerwcu 1844 r. raz jeszcze o tój pracy wspomina w następny sposób: „Donoszę ci, że jako literat, poczynam być strasznie a strasznie wzięty! Jeszczem nie skończył swoich Pamiętników o Nieświeżu, a już wieść o nich doszła aż do Warszawy! Pan Baliński autor Historji Wilna, bardzo uprzejmym listem prosił mię o nie i ma je umieścić w jakimś tam dziele. Posłałem je, a teraz p. Dobrowolski prosił, abym drugi ich egzemplarz posłał do Lubieszowa ks. Moszyńskiemu. Ciskam się ze złości, lecz przepisuję, bo obligacyom p. Dobrowolskiego odmówić nie mam prawa”.

Nie wiem na pewno, co się z tą pracą Syrokomli stało. Osobno wydanej nigdzie nie spotkałem. Mniemam, że p. Baliński korzystał z nięj, jako materyału do swojej *Starożytnęj Polski*, gdzie Nieśwież bardzo obszernie jest traktowany, a Syrokomla wcielił ją potem do *Wędrówek w swoich stronach*.

List, z którego wyciąg ten wzięłem, pisany był z Załucza, gdzie od 17 kwietnia tego roku Syrokomla stałe zamieszkał na własném gospodarstwie nieopodal od swych rodziców, którzy sąsiednią Tulonkę wzięli w dzierżawę. W tymże liście obszernie opowiada mi o swém ożenieniu się z panną Pauliną Mitraszewską.

„Tak więc (pisze) zapewniłem sobie rękę osoby kochającej i kochanej, osoby może bez nadzwyczajnych wdzięków, ale z nadzwyczajną dobrocią serca, czułością duszy, słodyczą charakteru, osoby z ładnymi blond oczami; bez posagu, słowem osoby zupełnie według mojęj idei. D. 16 kwietnia organy nieświeżskie zabrzmiały *Veni Creator* i Ludwik dostał młodą żonę, a nazajutrz przeniósł się do Załucza. *Leb' wohl goldene Jugend!* bądźcie zdrowe złudzenia przeszłości! bądźcie zdrowe niebiańskie muzy, ziemskie piękności, marzenia, ideały, żydzi, długi! Bądź zdrowa złota młodości! Bądź dla innych mało szaloną, jak byłaś dla mnie! Bądź zdrów starożytny zamek dzieci Wojszmida, w którym ubogi jeden biuralista kilka chwil miłych i gorzkich spędziwszy, obchodził przed chwilą weselne gody! Bądźcie zdrowi dawni koledzy, dawne obowiązki, dawne znajomości, romanse, nałogi! Bądźcie zdrowe mury nieświeżskie i przez wdzięczność przyjmcie

kiedyś gościnnie waszego dziejopisa! I oto teraz siedzę sobie w Załuczu z młodą żoną i zaiste niczego mi nie braknie, tylko tego, abys ty kiedy zajrzał w nasz kątek i dał świadectwo, że jestem szczęśliwy”.

Tegoż roku w jesieni byłem w Załuczu, widziałem nowożeńców i sumiennie wydać mógłbym świadectwo, że Syrokomla był podówczas szczęśliwym. Swoboda wiejska, powab własnego domku i pierwocin gospodarstwa, na własną rękę, blizkie sąsiedztwo rodziców i sióstr kochanych, przyjazne stosunki z poczciwą szlachtą z okolic Stołpców i Mira, czasem wycieczka do Nieświeża na jarmark św. Michalski, do Mińska na kontrakta, a nawet i do Wilna, z kąd zawsze jakaś się nowa książka przywiozła: wszystko to sercu, pełnemu prostoty i zacności wystarczało na zapełnienie życia prawdziwą błogością. Wprawdzie w rok potem niespełna uskarża się na jakies: „smutki, trudy, kłopoty, jedne mniej, drugie więcej dotkliwie, ale wszystkie bijące w jedną słabą głowę, w jedno biedne serce” i dodaje: „cóż więc dziwnego, że to serce jak martwe, że ta głowa jak pijana”! Wprawdzie powiada: „nie raz nie miałem siły i ochoty pasować się z losem”; lecz kończy temi wyrazy: „ale w końcu nabrałem zaufania w moc mojej duszy!”. I dalej znowu: „u mnie taki stan długo nie trwa; ja zawsze za pomocą jakiegoś wrażenia powstaję z letargu i poczynam nowe życie, aż znowu co mnie nie wtrąci w odrętwienie; słowem: buduję, zwalam, i znowu buduję i znowu, i znowu... Czytałem żywot jakiegoś św. eremity, ucznia św. Antoniego, któremu dla próby czy potrafi znieść przykrości życia, jak na chrześcianina przystało, kazano jakimś arcypracowitym sposobem pleść łańcuch z palmowych liści; a kiedy w przeciągu kilku mozolnych dni upłół jakie pół łokcia, kazano mu zniszczyć robotę i z porwanych liści pleść na nowo. Czyż to nie obraz naszych przeznaczeń”?

W innym znów liście z tegoż (1845 roku) powiada: „ja sam nie raz byłem w rozpacz; zdawało mi się, że mnie już całkowicie opanował urok miękkiego fatersztula i ziemskich korzystek, że w moim kącie wyjdę na formalnego kapłana; pocznę

Wstawać rano, zbierać siano  
I nie zaglądać co gdzie napisano;

lecz nie wiem, na lepsze, czy na gorsze, znów po staremu marzę”.

W ślad za tym jednym pociągiem pióra improwizuje ów pełny dowcipu wiersz, umieszczony potem w pierwszym tomiku *Gawęd*, p. t.: *Słodczyz marzeń*.

O jak błogo, gdy u kogo  
Słodka myśl się rozczuła!  
Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,  
Ach! jak słodka cybula!

Kończy zaś list swój temi słowami: „widzisz więc, że i marzę i rymuję; jakoż rzeczywiście dość tych różnorodnych marzeń wylałem na papier. Pracuję niepospolicie i niektóre z prac moich przesłę ci; lecz niektóre tak są wielkiej objętości, że ich przesłać niepodobna. Zwierzam ci się tylko pod wielkim sekretem, że co wyczytasz z czasem z podpisem Władysława Syrokomli, to będzie mój ręki”.

Ustępy które przywiodłem, dają nam najwierniejszy obraz charakteru Syrokomli, nie tylko z owej chwili, kiedy były pisane, lecz bodajże i z całego życia. Nieraz wpadał w apatyę, lecz to dorywcze wrażenie natychmiast go z niej wyprowadzało, powracając mu całą świeżość myśli i uczuć. To też wkrótce potem powiada: „ja żyję dosyć szczęśliwie: szczęście domowe i miłość ludzka za domem, to moje skarby, to uprzyjemnienie pobytu w pustym i głuchym Załuczu, to moje natchnienia literackie, słowem to wszystko moje. Pojmuję inne szczęście, ale go nie pragnę. Gdyby was tu zbliżyć, gdyby mieć dostatek książek, toby się było całkowicie szczęśliwym.”

Ale około tego czasu już i to szczęście książkowe zaczynało mu się uśmiechać. Działalność jego literacka, coraz to rozleglejszy zakres przybierając, już po za progi domu sięgała, już się zawiązywały stosunki z księgarzami i redakcjami. Rok 1845 jest pierwszą datą wystąpienia Syrokomli publicznie. W liście z tego czasu wspomina o dwóch swoich powiastkach (prozą) p. t. *Rywale* i *stary kawaler*, które posławszy Gluksbergowi do Wilna, odebrał

od niego odpowiedź, że są *interesujące i godne wzbogacić literaturę*; lecz razem propozycją, aby je oddał do Athenaeum. Jakoż ukazały się w tém piśmie w roku następnym. W tymże liście wspomina o zamiarze wydania zbiorku swoich poezyj własnym nakładem, co nie przyszło do skutku; lecz tegoż roku w Athenaeum ogłosił: 1) pierwszą swoją gawędę, p. t. *Pocztylion*; 2) *Kilka słówek o księdzu Turskim*; 3) *Tłómaczenie mowy łacińskiej Mikołaja Lasockiego*, (wszystko z podpisem N. N.); w Gwiazdzie także gawędę p. t. *Święty Sadok*, oraz kilka artykułów w Tygodniku Petersburgskim. Prawdę więc rzekł, że pracował niepospolicie, i to już z samopoznaniem, bo raz jeszcze pisząc o zamiarze ogłoszenia swych rymów, raz się wyraża: „lękam się, to mówiąc otwarcie, *mam swoje zdanie o poezyi, zupełnie różne od zdania powszechnego*”. W tém zaś wyrażeniu jest już oczywista zapowiednia nowego rodzaju *poezyi gawędowej*, w którym się z czasem tak znakomicie odznaczył.

W drugiej połowie marca 1846 r., Bóg nową pociechę naszemu wieszczowi zesłał. „Umyślnie wstrzymywałem się (pisze) z listem do ciebie, bo przeczuwałem coś, silnie mającego mię zająć, cobym miał ci donieść. Spełniło się! Ze łzami radości donoszę ci, że już od dwóch tygodni ojcem przesłicznej córki! Jeśli choć instynktem przeczuwasz to szczęście, to wiesz mi, kochany bracie. Trzeciego dnia świąt Wielkanocnych, moja Marynia została chrześcianką, twoi rodzice zostali jej rodzicami chrzestnymi. Dziś, kiedy to piszę, dusza moja nieco już ochłodziła się ze wzruszeń, z rozczulenia; ale wtedy, na gorącym razie, nie umiem ci opisać, co się ze mną działo! jak dobroć Pana wielbiłem! z jakimi łzami przyjmowałem powinszowania łaskawych znajomych i przyjaciół.”

W innym znów liście powiada: „gdybyś wiedział, jak teraz tu pięknie nad Niemnem! jaki ruch, brzęk kos, aromat siana! A słońce mile świeci! a poziomki takie słodkie! a kąpiel niemeńska tak ożywcza! O cobym dał, gdyby mieć tutaj ciebie, włóczyć się z tobą po błoni nadniemeńskiej, gawędzić, pochwalić się swoją Marynią, która już drugiego pono ma zęba, a rośnie, a ładnieje!”

W następnym znowu: „O czemuż ciebie tutaj nie było w lipcu! w lipcu, który mi upłynął z twym bratem, tak słodko, tak prędko, tak niespodziewanie!... Powtarzam ciemu ciebie nie było?! czemu ciebie mi brakło do doskonałego mojego szczęścia?! Ręczyłeś mi, że przynajmniej duch twój będzie między nami w twoich kochanych i kochających cię stronach. Wierzyłem w obecność twojego ducha; wierzyłem, że ile razy zbierzemy się z Feliksem, dusza twoja, jak elf O'Dycalpa, zaczajona gdzieś na lichtarzu, widzi nas, słucha, notuje, raduje się, wzdycha, lub płacze. Było to dla mnie przyjemnością wierzyć tak; ale o ileż byłoby przyjemniej widzieć i czuć twoją obecność z myślami.”

Cytuję te ustępy nie dla pochłubienia się przyjaźnią Syrokomli, bo czyliż tylko mnie jednego kochał? lecz właśnie, dla potwierdzenia tego, com rzekł poprzednio, że wieszcz nasz w Załuczu istotnie czuł się szczęśliwym, dla wykazania całego bogactwa uczuć tej wzniosłej duszy, wskrós przejętej wielką miłością. W dalszym ciągu przeglądu listów jego poufnych, nieraz mi jeszcze przyjdzie o tę stronę charakterystyki jego potrącić; bo choć ona widoczna we wszystkich jego pismach, znanych ogółowi, sędzę wszelakoż, że przyjacielskie zwierzenia lepszym są i wierniejszym świadectwem, niż to, co się dla całej publiczności pisało. Tu jeszcze jedna drobnostka, dowód swobody myśli i spokoju serca, jakim się cieszył Syrokomla w Załuczu. Zawiedziony w oczekiwaniu przybycia na wakacje brata mego z Kijowa, taką don improwizował epistołę:

Feliksie! już lato mija!  
Smutna będzie wakacya!  
Na echo, w polu i w lesie  
Twych wystrzałów nie rozniesie.  
Twój *Morok* zacnej pamięci  
Do pola się nie przyucza,  
Zostają z myśliwskich chęci  
Kaczki w zatokach Załucza.  
Zamiast warzonych korzyści  
Skonsumować kaczę udko,  
Siedzę w Załuczu cichutko,  
Przaplószone i nieśmiały,

A nuż się przysłowie ziści:  
*Bodaj cię kaczki zdeptały!*  
Tu niema żartu, Mosanie!  
Zapytaj sobie u ludzi,  
Jak tu zuchwałe kwakanie  
Tłumi nadniemeńską ciszę?  
Ja sam w dumaniu przyjemnem,  
Kiedy mię Muza pobudzi,  
Wyjdę pochodzić nad Niemnem,  
Świata Bożego nie słyszę!  
Co to będzie? co to będzie?  
Ani myśleć o wystrzale!



Twoje łowieckie narzędzie  
 Gdzieś w Kijowskim arsenale.  
 Zniknął cel twoich zapalów,  
 Znikła rozrywka jedyna!  
 Nudnoż będzie bez wystrzałów!  
 Chyba, wzorem Kupidyna,  
 Weź kochany przyjacielu,

Łuczek i kołczan<sup>o</sup>nareszcie,  
 I dobrze mierząc do celu,  
 Strzelaj w serduszka niewieście.  
 Wprawna twa ręka i oko,  
 Nie trzeba długiej zachęty;  
 Nie będę bając szeroko,  
 Bo i słówko *sat sapienti*.

Lecz od człowieka zwróćmy się znowu do literata. W korespondencji z marca 1846 r. wspomina o *opisanii Nawigacji Niemeńskiej* posłaném panu M. Grabowskiemu do jego *Pamiętników domowych*. W następnym liście z tegoż roku po raz piérwszy, wzmiankuje o swym przekładzie klasyków polsko-łacińskich. „Ja teraz (powiada), przygotowuję tłumaczenie rymów Szymona Szymonowicza, p. t. *Imagines dietae Zamoscianaae*. Przekład (jak mi szepce skromność autorska), nieźle mi się udał. Nie wiem gdzie podziąć tę robotę, a żalby jej poniewierać, przynajmniej przez cześć dla Zygmunrowskiego pisarza.”

Myśl tych przekładów przeważnie go odtąd zajęła, tak, że prawie zarzucił wszelkie prace oryginalne. We wrześniu 1846 r. tak do mnie pisał: „Wczoraj jeszcze odprawiłem dożynki. Gospodarka moja nadzwyczaj się opóźniła z powodów upalnego lata, raptownego dojrzewania zboża, a razem tak małej jaką mam liczbę robotnika. Zbiór lichy, umłot jeszcze gorszy, słowem nieźle będę kwalifikowany na chudego literata. Myśl będzie lekka, bo nie obciążone kieszenie, i dla tego właśnie przedsięwzięję rozszerzyć swój literacki warsztat, a to takim sposobem. Mam w tece przekład Szymonowicza, oraz parę jeszcze urywków Sarbiewskiego. Otóż przyszło mi na myśl, czyby nie można wydać tego osobno, pod ogólną nazwą *przekładów poetów polsko-łacińskich*, uprosić do téj roboty np. Kraszewskiego, Moszyńskiego, Walickiego, ciebie, i wspólnymi siłami starać się przełożyć łacińskie poemata Szymonowicza, Janickiego, Sarbiewskiego i dalszych pisarzy Zygmunrowskich, którzy poetyzowali po łacinie? przełożyć choćby w urywkach, bo naturalnie całości będą i za obszerne i może nie przypadną do gustu publiczności. Zapewne, że do téj antreprzyzy nie moich sił, nie mojej wziętości trzeba; więc piszę dziś do Kraszewskiego, obszernie wyłu-

szczając mój projekt, prosząc o radę i pomoc. Jak mi odpisze, zawiadomię cię najobszerniej o całej rzeczy, i czy będę stał przy dzisiejszym zamiarze. Zamiar użyteczny, lecz nie mnie się w to wdawać. Może kto zdatniejszy raczy mię wyręczyć, byleby tylko mój projekt trafił do przekonania.”

W październiku tegoż roku wspomina o swój powiastce, p. t. *Desperat, opowiadanie Porucznika*, ofiarowanej do Ondyny, a mówiąc o książkach, oglądanych po jarmarku Śto Michalskim w Nieświeżu, tak się wyraża: „Oj! oj! jak mi się chciało IV tomu Historii literatury Wiszniewskiego (1)! (mam tylko trzy). Co tam oryginałów polsko-łacińskich poetów, którzy teraz całkowicie mię zajmują. Wkrótce wyczytasz w Tygodniku Petersburgskim moją awizacyą o tém. Wierzę teraz, że projekt mój może powoli przyjdzie do skutku, bo się zań wzięli już inni. Oto otrzymałem list od Kraszewskiego, z którego wypiszę ci kawałek.” „Nie można się z panem nie zgodzić, że wiele bardzo zajmujących dla nas rzeczy leży, ukrytych i coraz mniej dostępnych ogółowi, pod całunem łaciny. Ja sam przekonałem się o tém, wertując pisarzy łacińskich, a zwłaszcza starowieczną ową satyrę Klonowicza, którą nazwał *Victoria Deorum*. Poeci i prozatorowie łacińscy nasi mało znani, lecz któż ich piękniej przełożyć potrafi, jak pan w przysłanej mi próbie? (*Imagines dietae Zamos.*)” Dalej unosi się nad myślą i dodaje: „Czekać będę pańskiego artykułu i wszelką moją pomoc z serca ofiaruje.”

W tymże czasie donosi mi o nowym swoim projekcie wydawania pisma zbiorowego, p. t. *Dziadek kościelny*, na korzyść odnawiającego się kościoła w Mirze, któremu też przeznaczał i dochód, z przygotowanego już wówczas do druku, pierwszego tomu swoich przekładów. (Był to Janicki). Dziadek nie przyszedł do skutku, ale z jego

(1) Ileż to razy takie nieziszczone chęci w sercu ubogiego literata się budziły! Jakkolwiek bowiem wiejska jego biblioteczka coraz się pomnażała, długo przecież cierpiał brak książek dla braku dostatecznych funduszów. Raz, pamiętam, pisał do mnie o sto mil oddalonego, abym mu pożyczył parę tomów Biblioteki Warszawskiej, której sam nie mógł przenieść, a o sprawozdanie z tego, co czytywałem, nieustannie się upominał.

powodu w listach swych do mnie Syrokomla wyraził zasady swojej wiary autorskiej; nie od rzeczy więc będzie zacytować ustępy, tego się dotyczące:

„Pytasz mię o swoje literackie projekta. Nic ci o nich nie umiem powiedzieć, nad to, co czytasz w Tygodniku Petersburgskim. Chcę, pragnę, ot i kwita. Wdałem się w przedsiębiorstwo literackie bez doświadczenia, bez merkantylnych znajomości, o które tu głównie chodzi, bo *potrzeba pieniędzy na kościół*. Jak je Bóg zeszele? czy będzie miało odbyć moje przedsięwzięcie? z jakich artykułów złoży się Dziadek? Nic tego dotąd nie wiem. Wróżę dobrze, bo początki obiecujące; leez boję się, aby niepowodzenie *Gwiazdy* nie wywarło wpływu i na naszą antreprzyzę, choć dzięki Bogu obcy jestem osobistościom, jakie w téj chwili rozdwarzają naszą literaturę na koterye, i myślę z tego wszystkiego czerpać naukę ostrożności. Chciałbym w *Dziadku* wyrazić myśl ślepój uległości dla wiary świętej. Chciałbym powiedzieć lub dać do zrozumienia, że rozum ludzki nie będzie upokorzonym, jeśli podciągając wszystko a wszystko pod swoje wszechstronne badanie, uklęknie przed ewangelią i zechce jój wierzyć *in verba magistri*, które to *verba* już są dostatecznie autoryzowane. Lecz cóż? powiedzą, że to ślepy pietyzm; że wiara bez wiedzy jest to łatwowierność: a wiesz kto łatwowierny? Powiedzą, że gdy Hołowiński zhasał Trętowskiego, panowie *Dziadkarze*, (wyraz uformowany na wzór *Gwiazdzarze*), zadają ośle uderzenia kopyta konającemu lwu. Ot co jest! Pojmujesz, że nie myślę wdawać się w spory filozofii, w której jestem tak słaby; ale to, co mówię, ma tylko być duchem *Dziadka*.”

W innym liście w kilka potem miesięcy: „*Dziadkowi* dałem za wygraną, skoro spostrzegłem obojętność publiczności. Zrzekłem się kosztów druku, cenzury i całego redaktorskiego zawodu, bo wydawać aż dwa pisma w obecnej stagnacyi ogółu, sam przyznaj, że niepodobna. Trzeba było coś z jednego poświęcić. Do przekładów przywiązywałem wagę historyczną; zyskałem współczucie Kraszewskiego, Przeclawskiego, Malinowskiego, Grabowskiego; dałem więc po łbie *Dziadkowi*. Skonał dziadyga, a umierając rzekł:

Niechże będzie pochwalony!  
 Więc i umrę, kiedy chcecie.  
 Czego włożyć się po świecie,  
 Gdy nie dają do skarbony?  
 U bogacza gdzieś przy oknie  
 Nieraz długo człowiek stawał;  
 Długo marznie się i moknie,  
 Nim wyniosą chleba kawał.  
 Kościół święty, matkę naszą,  
 Reformami ludzie straszą!  
 A jak pocznie mądra rada  
 Głosić postęp radykalny,  
 To i proboszcz nie przegada,  
 Cóż dopiero dziad szpitalny?  
 Och! czy mojej starój głowie  
 Zbijać mądre ich androny?  
 Jedno umiem, jedno mówię:  
 Niechże będzie pochwalony!"

Związek z przekonaniami, wyrażonemi z racyi *Dziadka*, ma to, co gdzieindziej powiada z powodu zarzutów *Roku* poznańskiego, wymierzonych przeciw dążności literatury litewsko-wołyńskiej: „Niech będą spokojni! my cenimy naszych pisarzy, ale się na nich znamy. My wierzymy w Boga Ojca Wszechmogącego i w Jezusa Chrystusa, a jednak ani na Litwie, ani na Wołyniu nie znajdziesz rozwiniętych idei absolutnych. Mamy naszą wiarę polityczną, nie gorszą od wiary pobratymców, a lepszą może dla tego, że wierzymy w Boga Ojca i w Jezusa Chrystusa.”

Że zaś takie zasady nie były usposobieniem chwilo-wém, lecz stałą a niezmienną wiarą poety, dowodem tego być mogą następujące wyjątki z jego listów z rozmaitych epok wybrane.

R. 1847. „Niedawno odwiedzałem groby Radziwiłłów w Nieświeżu. Większą część trumien otwierałem po raz może dziesiąty. Lubię dumać, patrząc na prochy tych ludzi sławnych, historycznych: Mój Boże! mówią pospolicie: śmierć wszystkich równa! A ja mówię: nieprawda! Równa śmierć ziemię z ziemią, ale duch raz na zawsze wyniósł się nad gminną równość. Ja ze drżeniem czci patrzę na szczątki kontusza Karola Paniekochanku, na jego golenie obnażone z ciała, wsunięte w wielkie łośiowe buty; nie śmiało patrzę w jamy, gdzie

były oczy, jak gdyby dotąd jeszcze z tych jam strzelały promienie oka genialnego. Ani mi na myśl przychodzi porównać proch jego z pospolitym prochem.... Ale serceby cię bolało, widząc jak poniszczono tyle pamiątek w starym zamku nieświeżskim! Pozawożono to do Wilna, to do Berlina tyle tutejszych rzeczy, które właśnie na miejscu mają swoją największą wartość. Pozabierano np. obrazy. Cóż? czy te, uważane jako obrazy, wytrzymają porównanie z obrazami pierwszych mistrzów w Berlinie? Zgoła wyglądać tam będą jak mazaniny, a tu wyglądałyby uroczo, wisząc w tych pokojach, po których wyobrażasz sobie, że ci malowani ludzie snuli się za życia, że ich wąsy, ich oczy, ich kontusze, były takie same. Tu aniby do głowy ci przyszło wątpić o autentyczności tych rysów, kiedy tymczasem obrazem tym oderwanym od swego gniazda ktoś może i nieautentyczność zarzuci! Nieświeżski zamek chlubił się obrazem Matki Boskiej, znalezionym pod Wiedniem przez Jana III, a teraz i ten obraz książe ordynat zabrał z sobą do Niemiec! Przepraszam, że cię nudzę temi szczegółami, ale one mię zajmują; boli mię, że ogolającą kraj z żywych świadectw historycznych!... Nie, już to nasz zimny, rachunkowy świat nigdy się nie rozgrzeje świętszemi uczuciami? nie, już to naprawdę grozom tylko i namacalnym korzyściom hołdować będzie? Rzewuski dowodzi, że zmartwychwstanie to ducha niepodobnym jest bez zmienienia głównych warunków ducha naszego czasu. Aż włosy powstają, czytając smutne jego przepowiednie przyszłości, gorzkie szyderstwa z tego, co nazywamy postępem XIX wieku! Lecz wszystko to brednie! Bogdaj tylko ludzie poczęli wierzyć i to nie głową, lecz sercem. Rozumowanie jest dobre, ale serca zracyonalizowan koniecznie muszą być suche. Na co nam np. szanować pomniki przeszłości, kiedy czas teraźniejszy według zasad postępu doskonalszy jest od przeszłego, a zatem to są tylko pamiątki głupstw przeszłych? Cegła starych murów dobra na nowe karczmy i hotele; żydzi to kupią: dostaniemy pieniądze, a za pieniądze wszystko będzie. Posty, modlitwy, obrzędy, wyrozumowano, są to rzeczy zbyteczne!... Gdybyż przynajmniej doszli do tych wniosków czystym, beznamiętnym racjonalizmem, to

nie sposób, aby gdzieś nie zatrzymali się w drodze. Lecz tu kieruje głównie namiętność, wyrachowanie, lenistwo; a cóż łatwiejszego, jak za takim popędem wymarzyć sobie dogodną teorię, a zagłuszyć wyrzuty sumienia formułą, że to jest postęp. Mojem zdaniem niedorzeczność tej formuły da się wkrótce uczuć; poznają ludzie, że życie bez bicia serca jest tylko vegetacją, i właśnie te niedogodności przyspieszą ukorzenie się człowieka przed Bogiem, a wtedy prawdziwy postęp nastąpi. Teoryjki dzisiejsze przeżyją swój wiek i umrą, odegrawszy może jakąś rolę, którą im Bóg przeznaczył. Filozofia Woltera była buntowniczką przeciw Bogu, ale dzisiaj widzimy, że była narzędziem Bożem, aby świat się zaelektryzował, wstrząsnął, przejrzał sam siebie i zamiast starego bytu począł żyć młodzięczo. My gryziپیوری starajmy się wszystkimi siłami nadawać ludziom kierunek ku prawdziwej, naiwnej wierze. Człowiek musi koniecznie w coś wierzyć, bo inaczej ani wytłumaczy sobie fenomenów życia, ani znajdzie rady, ani skieruje myśli, ani ulży sobie w strapieniach serca. O swoich siłach, ani w moralnym, ani w fizycznym świecie nie pójdzie. Już on połowy zbył się swego ciężaru, skoro wierzy, że ktoś się nim opiekuje, a cóż dopiero, gdy jest chrześcianinem, którego religia tak święta w swoich środkach i celach, że jej żadnym sposobem nie można posądzić o zdradę, o uwodzenie słabego człowieka”:

W tymże liście z powodu *Złotej legendy artystów*.

„Powiem ci, że to mi się podoba nadzwyczaj. Dla czego? oto, że o cudach mówi bez krytyki, rozbioru; lecz tak, jak wyszły z tradycyi, naiwnie. Nie waha się opisywać smoków, szatanów, opętanców, tak prostodusznie, jak stara dewotka. Ja to lubię; takie artykuły służą do przyprówdzenia nas do wiary serca. Nic pewniejszego, że wiele można mówić o wiarogodności cudów niektórych, tak hojnie nam przekazanych w ascetycznych dziełach; ale co tu mówić i podawać w niewiarę wypadek, kiedy rzeczywiście Bóg nie raz nawiedzał sługi swoje cudami? A choć później pobożny opowiadacz cudu dodał jakieś akcesoryje, to nie zmniejsza wiary w sam cud. NB. Czy święty Jerzy zwyciężył smoka, czy własne namiętności uosobione w smoku, zwycięztwo niemniej jest wielkiem”.

1847 r. „Nam potrzebna przyszłość, ale ta przyszłość tém będzie pewniejszą, im mocniej opartą na przeszłości, na zamilowaniu przeszłości. Powinniśmy kochać przeszłość, bo nasza przeszłość piękną była. My, z nowożytnych najstarsi synowie swobody myśli, my wyznawcy najdawniejsi tych opinij, przed któremi świat dzisiaj klęka. Znam wady naszej przeszłości i właśnie chcę, aby je wszyscy znali, to najlepsza dla przyszłości nauka. Wyszukiwać, poniewierać, urągać wadom ojców, to źle i niehumanitarne; ale przedstawiać złą i dobrą stronę należy koniecznie. Polak nie powinien być kosmopolitą; powinien kochać, co swoje”.

1848 r. „Trzeba literaturze naszej życia, trzeba ruchu, tylko daj nam Boże wytrwanie do końca, aby ruch nasz nie obudził się w wybrykach antireligijnych, aby nie dał się osiedlić ponętami racjonalizmu. Mówię ponętami, bo już ciż ponętnie rozumowi ludzkiemu postawić coś swojego na miejscu wiary uświęconej wiekami, zbudować moralność z własnych pryncypiów i badać *verba magistri*, pociągnąwszy do kalkulacji i weryfikacji przeszłą doktrynę. Pięknieby to było i wyznać potrzeba, że wiedza ma dzisiaj za sobą mocne argumenta. Ale któż nam zaręcza ich trwałość? Kto powiedział, że w rzeczach ludzkich jest nieomylność, Bogu tylko właściwa? Czy mniej liberalnie mówił *Luter* od *Eu. Sue*? Czy mniej się do rozumu odwoływał *Volter*, jak dzisiejsi przeciwnicy jezuityzmu? A przecie lada żak oświeci cię dzisiaj, co było szkodliwego w racjonalizmie *Lutra* i *Voltera*. Przypuściwszy, że wiedza siądzie na tronie wiary, pytam się, czy zdoła na siebie samą przyjąć ciężką odpowiedzialność za dolę świata? Czy nie lżej spracowanej naszej głowie i bolącemu sercu wytchnąć przy słowach: bądź wola Twoja Panie! niż własną wolą i siłą sobie nadstarczać? Dlatego uporczywie chciałbym widzieć obudzoną naszą katolicką literaturę litewską, niż dać się usidlić ponętnym wybrykom poznańskim, a z biedy warszawskim. Tam wierzą w potęgę ludzkości, tam co słowo, to postęp i przyszłość; ale te słowa mają w ustach nie w sercu, i trudniej im wyprowadzić rękojmię postępowej przyszłości ze swoich niby matematycznych pewników, jak mnie za pomocą

prostego przysłowia: „dobrze Bóg radzi o swojej czeladzi”. Przywiedzmy rzecz do najprostszych wyrazów: ja wierzę w przyszłość, oczekuję postępu i reformy od Boga, a oni czekają tegoż od rozumu i sił ludzkich. Niechże teraz krzyczą, żeśmy ciemni i łatwowierni... Czytałem *Szpicrut honorowy*. Ta sama tutaj żółć przeciw magnatom, co w *Parafiańszczyźnie*, ta sama miłość bliźniego, te same dążenia. Tylko w ogólności radziibyśmy drugą stronę (nie-magnatów) widzieli szlachetniejszymi i bardziej wyrozumiałymi. Smutno, że jeszcze nie przestają jątrzyć ran naszych, kiedyby już pora zagoić je i panów i nie-panów zbratać wiarą i miłością” (1).

R. 1852. Z powodu mego projektu wydawania pisma zbiorowego: „O dążnościach nie ma co mówić; ale moja rada: nie nadawaj pismu zbyt ostrzej barwy. Wiara, nadzieja, a nadewszystko miłość, miłość i miłość niech będą twém i twego pisma godłem. Oliwy nie żółci potrzeba nam na chryzmat bierzmowania naszego. Wierząc najświęciej we wszystkie wielkie prawdy świętego postępu, nigdy przecie nie dałem się złowić naszym postępowym krzykaczom; najprzód, że tam więcej hałasu, jak prawdziwej idei, więcej kapriolów, niż porządnych kroków przed siebie; powtóre, że u nich za nienawiścią ani widać tej okrzyczanej miłości; że utopiwszy w odmęcie zagranicznych teoryj, ideę narodową, wadą naszą narodową, nie, zgodą, brakiem jedności, gubią sprawę. Wierzę w postęp, ale nie w konwulsyjne susy: a dla nas nie widzę postępu, jeno w warunkach narodowości zreformowanej stósownie do ducha wieku i katolicyzmu wolnego od jezuityzmu”.

Czyliż nie temiż zasadami, nie tymże duchem przejęte i wszystkie utwory Syrokomli? Czyliż nie takie same głosi i w ostatniej swojej piosneczce w Tygodniku Mód:

Wiary trzeba nam, wiary!  
Czynu trzeba i woli!  
One wskrzeszą świat stary,  
Ułagodzą co boli!

(1) Jakże się dziwnemi po tém wszystkiém wydają zarzuty Przeglądu Poznańskiego, który w r. 1856 oskarżał Syrokomlę o radykalizm, demagogią i wolnomysłność religijną!



Lecz wróćmy do prac literackich naszego wieszca. Jak rzekłem już wyżej, od 1846 roku myśl o przekładach poetów polsko-łacińskich zajęła go poważnie; niemi się najgorliwiej zajmował, o nich prawie w każdym swym liście coś do mnie pisał. Nie zrażał go ani brak literackiej pomocy wprzód mu obiecanój, ani obojętność bibliopólów, ani ostra krytyka Lisowskiego na tom pierwszy przekładów (zawierający poezye Janickiego, wydany z prenumeraty r. 1848), ani rozmaite rady zniechęcające: „Ty sięce uwag, powiada, o bezpożyteczności tój pracy przyjąłem z ukłonem, ale ani na chwilę nie zachwiałem się w zamiarze”. W inném znów miejscu: „Poczynam nabierać przekonania, że mój projekt tłumaczenia poetów polsko-łacińskich nie jest bez wartości i jakiegokolwiek zasługi; jednak wiele wody upłynie, nim mię ogół zrozumie należycie. Oto, że inne pominę, pisze mi Podbeski: „Wczoraj na wieczorze u Odyńca słyszałem z ust jego największe pochwały twojego przekładu, dodał tylko, że szkoda twojego talentu dla Janickiego”. Odpisałem i prosiłem, aby to pokazał Odyńcowi: że Syrokomla doskonale pojmuje, iż daleko Janickiemu do Byrona i Mora, tak daleko, jak Syrokomli do Odyńca. Że wzajemnie i Odyniec zrozumieć powinien, dla czego dla nas miłszy jest Janicki od Byrona; dla czego warto mu poświęcić nawet (gdyby był) talent tłumacza. Podobne zdania codzień słyszę, a jednak to mię nietylko nie zraża, lecz owszem utrzymuje w przedsięwzięciu. Powiedz teraz, żem uparty, jak osioł”.

I trwał w tém przedsięwzięciu uparcie, i jak sam się wyraża: wszystkie wolne od powszednich zatrudnień chwile, poświęcił *nieszczęsnym* przekładom. „Nic nie piszę, nic nie drukuję, bo cały oddany jestem Sarbiewskiemu; dla jego przyjaźni zaniechałem moich prac literackich, stosunków i t. d. Nic ci nawet nie doniosę, co czytałem, bo nie mam czasu czytać”. Pracował nieznużenie, namiętanie, a jedna praca drugą wywoływała, bo myśl o napisaniu Historji literatury z wertowania polsko-łacińskich klasyków wynikła i niemniej silnie nim zawładnęła. „Wiesz już (powiada 1848 r.) z głośno roztrąbionój przez Glücksberga gloryi, że piszę Historją literatury; otóż to

cała wina mojego milczenia. Ta praca pożera mi nietylko czas, bo go jeszcze dla prawdziwego przyjaciela mógłbym znaleźć, ale myśl, energią, duch, zdolność, chęć pisania. Ja teraz nigdzie i do nikogo nie pisuję. Pracuję, a kiedy zziajany wstanę od pracy, to wypoczywam najmateryalniej, albo Bóg wie, na jak powszednich pogadankach marnuję chwile, które słodszy dla serca i umysłu rozrywkom mógłbym poświęcić. Extra moich godzin pracy, nietylko nie piszę, ale nawet nie czytam; nie mogę, nie chcę, nie mam usposobienia, tak mój biedny umysł wypracowuje się robotą nad siły”.

Wszelakoż, mimo takich oświadczeń, mimo zatopienia się w przekładach i w Historii literatury, przy której jeszcze (dla wprawy w stylu historycznym i dla powszedniego chleba, tłumaczył *Poujoulat'a* historią rewolucji francuzkiej) tworzył też i oryginalnie, ledwie, że nie wszystkie krajowe owoczesne dzienniki zdobiąc poezjami swojemi; ale śpiewał, jak ptaszę śpiewa, nie uznając swego talentu i nie przywiązując doń należytej wagi. Powiada nawet w jednym ze swoich listów z końca 1848 r. „Kraszewski ciągnie mię na oryginalnego poetę! Dziś mu odpowiadam tak, że będzie miał co czytać za takie brednie”!

Z tē wszystkiē, jako poeta oryginalny, jako twórca gawęd uroczych, coraz to głośniejszym się stawał, coraz to większą sympatyą zyskiwał. Niebawem stał się ulubieńcem całej Litwy, a szczególnie Wilna, gdzie za każdym pobytem coraz to w obszerniejsze koło artystyczno-literackich stosunków wchodził i dokąd coraz częściej i chętniej wycieczki robił, zwłaszcza od kiedy się zapoznał z przybyłym tam z Petersburga Romualdem Podbereskim niegdyś redaktorem Rocznika, a potem Pamiętnika Naukowo-Literackiego. Poznanie się to miało miejsce w grudniu 1848 r. Podbereski potrafił ująć sobie pocziwe serce wioskowego lirnika i gorliwe jego współpracownictwo pozyskał. W maju następnego roku Syrokomla znowu był w Wilnie i z domu p. Podbereskiego tak do mnie pisał, zachęcając do kollaboracyi w Pamiętniku: „Redaktor jego jest człowiekiem postępowym, człowiekiem co kocha ludzkość, chce ją natchnąć żywotem, chce na jēj

korzyść wyciągnąć wszystkie nasze młode pisarskie ekstrakta. Odpowiedzmy mu, a będzie korzyść i dla nas i dla literatury i dla ludzkości i dla redaktorskiej kassy". Jakoż p. Podbereskiemu oddał cały zbiorek dotąd nie wydanych oryginalnych poezyj swoich, oraz wiele tłumaczeń, które się najcelniejszą ozdobą Pamiętnika stały. Pamiętnik rok tylko istniał, a po jego upadku i po wyjeździe p. Podbereskiego do Archangielska, Kraszewski, którego Syrokomla osobiście w Hubinie poznał (1), gawędami jego okraszał ostatnie dwa lata Athenaeum, oraz Biblioteka Warszawska kilka poetycznych utworów jego dostała.

Po wyjeździe Podbereskiego Wilno, nie przestało ciągnąć ku sobie Syrokomli; co zresztą było rzeczą aż nadto naturalną. „Jadę do Wilna ze stosem robót (pisze w jednym ze swoich listów), potrzebuję odetchnąć po pracy, rozerwać się, użyć wolnego powietrza w Werkach. Czy ty uwierzysz, że ja w Załuczu łaknę powietrza i słońca, tak mi dni upływają między stosami papierów w ciemnej izbie". To jedna pobudka, chęć odetchnienia, ożywienia się w kółku literackim i towarzyskim; a były

(1) Nie od rzeczy będzie umieścić tu kilka wyjątków z listów Kraszewskiego z r. 1850. „Był u mnie Syrokomla w Hubinie. Poczciwy poeta zrobił pocztą mił trzydzieści kilka, żeby mi dłoń podać z całej duszy. Z całego serca jestem mu za to wdzięczny. Poznałem go i potrafiłem ocenić prostą, poetyczną duszę jego i talent. Gościł u mnie dni kilka, już tęskniąc za domem i za pracą."

Wycieczkę tę odbył Syrokomla z p. Maurycym Wolffem, który u niego szukał pomocy w zamieszczonem tłumaczeniu historyków polsko-łacińskich, a u Kraszewskiego skutecznej rady w tém przedsięwzięciu zasięgał.

Rok 1851 w styczniu: Tłumaczenie Poujoulat'a i ja znajduję nader dziwnem zjawiskiem, bo niegodziło się takiemu śpiewakowi jak Syrokomla, wcale mierne dziełko tłumaczyć. Boję się żeby nie wpadł w ręce księgarzy i nie został ich wyrobnikiem. Będą mu kadzić, żeby go ssać, a ma przed sobą przyszłość której zaprzedać ani za grosz, ani za ziarno kadzidla nie godzi się. Jak niepozorny, jak milczący, jak powierzchownie niezem nie uderza, tak w sobie skupiony, silny duchem, istny poeta. Serdeczny byłby żal, gdyby się miał stłumaczyć, sponiewierać na posłudze wyrobniczej. Piszcie do niego wy, co go lepijź znacie i od których to przyjmie: niech siebie więcjź ceni i lada jakiej francuzczyźnie da pokój, niech czyta, pracuje, studjuje przeszłość i śpiewa, to jego rzecz." Ile w tém prawdy, ile ducha proroczego było, dzisiaj łatwo ocenić!

téz i inne, jak np. potrzeba zaopatrzenia się w książki i choćby sama tylko ciekawość oglądania drukujących się ulubionych przekładów, których tom II w 1848 r. nabył p. Zawadzki (za 70 rs. książkami), który wreszcie i wszystkich sześciu tomów stał się nakładcą.

Między 1849 a 1850 rokiem, poczyną się największa wziętość Syrokomli, prace jego najszerszy zakres przybierają, stosunki rosną i mnożą się bez końca, tak że zaledwie nastarczyć im jest w stanie. Dowód tego wyraźny mam w zbiorze jego listów, do mnie pisanych, między którymi z r. 1849 zaledwie dwa spotykam, z 1850 tylko jeden, z 1851 żadnego. W 1852 znów tylko jeden, i to kilką nawrotami pisany: zaczęty drugiego stycznia i wyprawiony bez końca, który aż trzy daty zawiera: 7 stycznia, 11 lutego i 14 marca. W nim następujące wyrazy: „Gdybyś wiedział o milionowych cierniach życia, które mię bodą i w głowę i w serce, pożałowałbyś mię, ani wątpię. Zgryzoty domowe, niepowodzenia gospodarcze, i tyle, tyle cierpień moralnych (1). Oto przyczyny, dla których zaniedbałem tak drogie listowanie z tobą. Że ci jedną z tysiącznych moich zgryzot przytoczę: oto cały rok blisko szukam dzierzawy, dziedzictwa, posady, słowem chleba, a tu jak na złość wszystko mi pęka pod ręką, zła dola uwzięła się psuć moje najpiękniejsze rojenia! Raz zaprzężony do machinalnej pracy pisania, jakoś ciężarowi temu wydolęwam; ale brak mi żywotnej świeżości ducha, brak w życiu zapалу; już podobno nie jestem poetą, a los dziwnie po przyjacielsku dopomaga memu postanowieniu. Żyję z dnia na dzień, *at sobie*, cierpię, ale z rezygnacją tak stoicką, że ta rezygnacja stanem moim normalnym się stała!”

Mimo to wszakże w tymże liście wspomina o drukującym się już pierwszym tomie swych Gawęd i rymów ulotnych, i szóstym tomie przekładów, oraz o znajdujących się w tece: Dęborogu i Kanoniku Przemyskim. Wszystkie utwory te, do których natchnienie w Załuczu przyszło,

(1) Z cierpień moralnych, jakie w tym czasie Syrokomlę dotknęły, przyczyną największego była podobno śmierć Maryni. Oprócz niej w listach swoich wspomina i o synu Piusie Alexandre, którym go Bóg obdarzył 6 lipca 1848 r., a w kilka potem miesięcy odebrał.

należą bez wątpienia do najpiękniejszych przejawów talentu wieszca naszego, choćby ze względu tylko na tę świeżość uroczą, na spokój i wzniosłość uczuć, jakie w nich wszędy napotykamy. Kanonika Przemyskiego ogół zna tylko z wyjątków; w rękopiśmie pozostała tylko pierwsza połowa, stanowiąca tom spory. Żałować trzeba, że Syrokomla, zrażony uwagami tych, na których zdaniu polegał, a którzy w tym poemacie ze zgorzeniem spostrzegli zbyt wiele ducha protestanckiego, nietylko nie dokończył tej znakomitej pracy, lecz nawet i tego co miał drukować nie chciał. Niech to wszakże będzie świadectwem dla krytyków jego poznańskich, jak dbałym był o czystość zasad w utworach swoich. Następny list z dnia 8 września 1853 roku otrzymałem już z Borejkwoszczyzny. Wyjątek, który z niego przywiode, łatwo czytelnikom da poznać, jak źle się stało, że nasz lirnik wioskowy wiejskie zacisze swoje opuścił. Nie przeczę, że łatwość stosunków z Wilnem, w którym się zogniskowywał ruch intelektualny całego kraju, które mogło dostarczyć obfitęj umysłowej karmy poecie i podniecić ducha jego do jeszcze żywszej działalności, mogła mu znakomite przynieść korzyści; ale... ona też go naraziła na straty, których żadne korzyści okupić nie potrafią... Może to wina miękkiego charakteru wieszca naszego; ale też dla serc takich wioska podobno najstosowniejszém schronieniem. Sam to cudnie wyraził w jednej z najpiękniejszych swych piosnek, drukowanej w Tygodniku Illustrowanym (r. 1859) *Śmierć słowika*, gdzie proroczy losy swoje wyśpiewał. Nie mogę się powstrzymać, aby jej choć w urywkach tu nie przytoczyć:

W drucianém więzieniu zamknęli słowika,  
 Gdzie kipi gwar miasta;  
 Lecz chętką spiewania tak wzrasta, tak wzrasta,  
 Że pierś mu przenika!...  
 Gdzie tutaj zacisze, gdzie tutaj swoboda,  
 By wylać głos wieszczy?  
 Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,  
 Kurzawa aż dusi;  
 Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,  
 Ten śpiewać musi....  
 .....Słuchaczów co płaczą łezkami rozkoszy,  
 Potrzeba ci właśnie!

Tyś nie znał oklasków, bywało cię ploszy  
 Kto w dłonie zakłaśnie...  
 ....Tém śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,  
 Z sił swoich ostatka...  
 Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy  
 W ostatniej swój próbie!...  
 Daremnie w swe drobne skrzydelka szeleszcze,  
 Chwieje się i slania...  
 Gorące serduszko zadrgnęło raz jeszcze,  
 Lecz taktem skonania.  
 I ten co pieśniami panował nad knieją,  
 Tu zerwał swe siły!...

A że tak było istotnie, dowodem ustęp następny:  
 „Serdecznie ci dziękuję za ciągle dowody pamięci! Ani  
 wiesz, ani się domyślcć możesz, jaką mi robisz łaskę, bo  
 mię godzisz ze światem, który kocham, ale w który nie  
 wierzę, z uczuciami świętymi, przez które i w imię których  
 jeszcze wskresnąć mogę ze śmiertelnej apatyi, będącej  
 skutkiem wielu przebytych niedoli, wielu cierpień, jakie  
 mi zadali dobrzy ludzie. Z krzyża moich boleści z rozrze-  
 wnieniem wołam do ciebie: dziękuj!... Od Świętego Jerze-  
 go mieszkam o wiorst 13 od Wilna, z którym wszakże co-  
 dzienne mam stosunki. Nie chcę cię zapoznawać ze złą  
 stroną naszego miasta, ale co serce boli, z tém się przed  
 tobą wynurzyć muszę... Kto inny śmiałyby się z tego śmie-  
 chem Demokryta, ale mnie, który ludzi tak kocham, który  
 wyspolecznienie się uważam za ciężką zbrodnię, mnie, mó-  
 wię, zbiera się tylko na bolesny śmiech Hamleta, na śmiech  
 konwulsyjny, stokroć boleśniejszy od płaczu! I pytaj teraz  
 dla czego nie pisuję? co mam pisać? odczarowywać twe  
 młode ogniste serce? to zbrodnia: posyłać ci gorycze? masz  
 ich dosyć i bez tego, nie wątpię. Udzielać ci naszych Wi-  
 leńskich wiadomości literackich? niema ich, my nic nie ro-  
 bimy, kłócimy się o fraszki i na tém koniec. Sucho w du-  
 szy, nudno dokoła!”

„Pracuję nader mało, a co piszę, wiesz z pism publi-  
 cznych. Posyłam ci *Wędrowki*, waletę stronom Niemno-  
 wym, kolebce naszej. O bracie drogi! niema już dla mnie,  
 niema dla nas tych stron! już się tam nie zbierzmy! Odwie-  
 dzałem niedawno Tulonkę i Żalucze. Te chatki, co wy-  
 niańczyły mnie i moje siostry, co potem wrzały hałasem

naszej dziatwy, gdzie stary mój ojciec, bawiac wnuki, odmładzał się i był szczęśliwy, teraz te chatki pusté, szczury po nich biegają. Rodzice samotni, ojciec postarzał do niepoznania, znękany kłopotami, stracił czerstwość starości dotąd szczęśliwej! Serce pęka z boleści! I pisz tu! i baw publiczność! Masz obraz mojego położenia: czegom nie wypisał, sercem odgadniesz, i przyciśnij mię do serca, bo ja bardzo potrzebuję bratniego współczucia."

Odtąd, nie wchodząc w to, jakie było zewnętrzne życie Syrokomli, z listów jego, których w przeciągu lat dziewięciu, zaledwie jedenaście dostałem, widać niezmierny ucisk i głębokie cierpienie ducha obok rzadkich chwil pogodniejszych. Ważne to dokumenta i dlatego, jak mnie mam, nikt mi za złe nie weźmie, gdy z nich, osobiście ku mnie zwrócone, wyjątki tu przytoczę:

„Dzięki ci najserdeczniejsze za nowy dowód pamięci! Tyś zawsze uprzedzający, tyś zawsze pierwszy, zawsze pomny na starą przyjaźń, a tém lepszy, że wchodzący w moje niedole, w moje lenistwo, w moje przeszkody do pisania, zawsze rad mię usprawiedliwiać przed sobą i przedemną. Zaprawdę listy twoje nieocenioną przynoszą mi pociechę: czytam je, odczytuję po razy wiele, rozmawiam z tobą; ale zbolały, znękany, z trudnością zdobywam się na wylew uczuć, które od tak dawna przywykły zasklepiac się w piersiach, żyć w sobie. *Złe to, fatalnie! ale któż winien ludziom, że mnie do tego przyuczyl!*!!!?..

„Bawił tutaj dni kilka Lesznowski. Zawarliśmy z sobą stałą na lat trzy umowę względem współpracownictwa do gazety; mam szczery zamiar pracować dlań wiele; tylko Bóg wie jak dalece te dobre zamiary uda się skutecznici. Oprócz trosk i kłopotów, zdrowie, czuję że mnie opuszcza; piszę téż list bolącą ręką, z zawiązaném gardłem i bolącemi piersiami”.

„Bóg mi podarował d. 21 b. m. (listopada 1853 r.) jeszcze jednego syna. Osierocony, pocynam znowu mieć rodzinę. Niech Imie Pańskie będzie błogosławione w dniach radości, jakem Je błogosławił wśród boleści moich”!

„Długie wieczory i co za tém idzie, szczerze oddanie się pracy, znacznie podziały na ulgę moich cierpień

moralnych. Dodać do tego muszę list dobrych przyjaciół i parę prawdziwie przyjaźnych serc, które mi słodzą moje cierpienia. Jakoś się dźwiga brzemie żywota, jak krzyż, jeśli nie z przyjemnością, to przynajmniej z rezygnacją”.

Po dziewięć-miesięcznym milczeniu, następny list (z d. 15 września 1854 r.) tak je usprawiedliwia:

„Przyczyną tego milczenia był najprzód mój Margier (który drukuje się w Lipsku) pisany w ciągłym naprężeniu wszystkich sił ducha, tak że najzwyczajniejsze listy zalegały u mnie bez odpowiedzi, bo nie mogłem oderwać myśli gdzieindziej. Należało malować akcyje żywe, postacie energiczne, rzeczy nader trudne, jeżeli zważysz mój miękki charakter, zdolniejszy raczej kreślić sielanekę litewską, niż krwawy bój, raczej cnoty ciche domowe, niż dzieła wysokiego heroizmu. Stworzyłem poemat bohaterski, którego się nie powstydzę przed ludźmi, ale kosztem ostatnich sił zdrowia. Równie z ukończeniem Margiera, ostatnich dni sierpnia, zasłabłem na piersi. Nie zwracałem z razu na to uwagi, ani liczyłem za ważne moich cierpień, aż póki choroba nie objawiła się w sposób grożący życiu. Wtedy dopiero, zagniony do leczenia się, musiałem stałe na zimę przenieść się do Wilna. Tu od kilku tygodni leki poczynają brać skutek”.

W następnym liście z d. 1 maja 1854 r. nieco więcej swobody:

„Donoszę ci o sobie, że co do zdrowia mam się gorzej, co do weny i humoru, lepiej niż zwykle. Co zaś do materialnego powodzenia, ani lepiej, ani gorzej; *parva mihi, sed apta*. (O gdybyż!) Na ten rok zostaje jeszcze w Boréjkowszczyźnie, na malutkiej gospodarce, na której jeśli mi się, broń Boże, lepiej powiedzie, mam stanowczy zamiar zamienić na sochę i rydel pióro, które, czuję jak w mych ręku tępieć poczyna”. O parę stronic dalej, tak reflektuje sam siebie: „Wielki Pol olbrzymim krokiem postępuje naprzód, choć już wiek dojrzały powinienby mu poszepnąć o spoczynku. A my młodzi załamujemy ręce, a raczej opuszczamy je leniwie dlatego, że brzemie żywota cięższe, niż zmożą nasze ramiona. Wstyd nam, wstyd mnie mianowicie, który tak widocznie upadam na siłach i zdrowiu. A lat trzydzieści, toż-to wiek samój siły! Nie wolno być słabym w tych lecicach”!



Odtąd przez 20 miesięcy żadnej już bezpośredniej wieści od Syrokomla nie miałem. Nareszcie 27 stycznia 1856 r. odebrałem pismo, w którym godny uwagi urywek następujący: „Rzewne ci dzięki, bracie, za pamięć, za chleb Pański, rozłamany ze mną w dzień wigilii, za wiarę w moją przyjaźń pomimo niepocziwego milczenia. O drogi mój! raz pojmij przecie, że duszy, jak moja, ciągle bolejącej, trudno się zdobywać na poufne zwierzenia, na swobodne wylanie się przed tym, kto od lat piętnastu był dla mnie najlepszym bratem, któremu grzechem byłoby posyłać listy czeze i suche, a niestaje dosyć siły do wywnętrzenia się zupełnego. Dziękuj Bogu za spokój, którym duszę twoją nawiedził, pomódl się aby go udzielono i innym, którzy cię obchodzą, i przebacz mi! Takeś dobry, że chcesz wiedzieć o szczegółach dotyczących się mojej rodziny. Mieszkam, jak wiesz, o 13 wiorst od Wilna, ale oprócz interesów, nigdzie prawie nie bywam. Zostając na przyjaźnej stopie ze wszystkimi, zawiedziony na ludziach, wołę ich kochać z oddali. Wystarcza mi towarzystwo kilku prawdziwych przyjaciół. Na wsi, latem, żyję bardziej towarzysko; zimą zaś oddany jestem ciągłej pracy. Odwiedzają mnie tutaj rodzice, mieszkający o wiorst 8 i Rajecy (siostra i szwagier) o 4. Władek mój dorasta, chłopiec sprytny, swawolny i leniwy do książki, co mnie niepokoi..... Wilno drzemie, co do życia umysłowego, lecz co do zabaw, hula teraz w najlepsze! Pocziwe zresztą, sympatyczne miasteczko. Czy wiesz, że ja za skarby świata z niego nie chciałbym się ruszyć?! I dowiódł tego, bo w tymże r. otrzymawszy propozycją objęcia redakcyi Gazety Codziennój, lubo zerwał się z razu ochoczo i pobiegł do Warszawy; rychło wszakże powrócił, a za powrotem tak do mnie pisał: „Redakcyi nie przyjąłem, dla przyczyn które łatwo ocenisz. Tęsknota do kraju, do swoich, do Wilna, zabiłaby mnie, jak to z góry przewidywał Trypplin. Trzeciego tygodnia pobytu w Warszawie, zachorowałem na jakieś nieokreślone cierpienie, którego się nie pozbyłem, aż ujrzawszy wileńskie rogatki”.

Przed wyjazdem jego do Warszawy, odwiedzałem go w Borejkowszczyźnie i kilka dni z nim spędziłem. Zastałem wtedy wielką radość w domu z nową pociechą, jaką

Bóg w nowém dziecięciu zesłał. Odwiedziny te wszakże więcej mi bólu, niż przyjemności sprawiły. Po dwunastu latach rozłąki, zastałem Syrokomlę bardzo zmienionym fizycznie i moralnie. Była to zawsze ta sama, poczciwa, kochająca dusza, to samo serce czule, gorące; lecz brak wewnętrznego spokoju, brak dawniej, młodzieńczej, naiwnej wiary i ufności. Życie gorączkowe jakieś, rozpieczęchle, excentryczne, wyczerpało go strasznie, odebrało siły fizyczne i przedwczesną starość przywiodło. Pochylony, kaszlący, ze zmarszczkami na zwiędłej twarzy, wielkim smutkiem serce mi przejął. Pożałowałem, zapłakałem pocichu nad straconém, głuchém Załuczem! Mniej tam było blasku, mniej gwaru i ruchu, mniej zewnętrznych akcesoryi literackiego życia, na pułkach zaledwie kilkanaście książek, a na ścianach *Bonaparte* (1); lecz obok tego ciche, prawdziwe szczęście. Tu już pewny wykwił artystyczny, książ i dzienników całe stosy, pięknych obrazów, medali, posążków mnóstwo; życie towarzyskie tłumne i gwarne, oklasków, admiracyi wiele; lecz szczęścia, lecz serdecznego zadowolenia, spokoju, zaledwie przelotne chwile.

To téż i w pismach jego z epoki owój, wyraźnie się malował ten stan duszy bolesny, szczególniej w Wielkim Czwartku i w Janku Cmentarniku. Kiedym mu to zarzucił, odpowiedział tak samo, jak niegdyś w liście do mnie pisanym: któż winien ludziom że mnie do tego przyuczylili? Pisał w tych czasach wiele, bardzo wiele, a oprócz tego marzył i o rozmaitych przedsięwzięciach literackich zbiorowych. Tak np. w 1853 z Glücksbergiem zamyślał o reformowaniu Kuryera Wileńskiego, a w 1856 z Orgelbrandem o wydawaniu pisma zbiorowego p. t. *Barcie*. W ostatnich sześciu latach czynny brał udział naprzód w *Tece*, a potem w *Kuryerze Wileńskim*, pod redakcją Kirkora. Wszystkie utwory Syrokomli znane ogółowi dokładnie, i nie tu miejsce wyliczać je, lub się obszernie zastanawiać nad niemi; nie tu miejsce dowodzić, że lubo nie wszystkie jednaki są wartości, lubo w niektórych znać tępiejące już pióro, wszelakoż nie ma ani jednego, coby bodaj

(1) Patrz gawędę o moim starym domku.

w kilku oderwanych ustępach, nie odznaczał się cechą prawdziwego, a zawsze sympatycznego talentu. Jest ich kilkadziesiąt tomików; z tej wielkiej liczby, gdyby nawet dwie trzecie surowa krytyka chciała odrzucić, jako chybotne, to pozostałe jeszczeby wystarczyły do zjednania ich twórcy wiekopomnej chwały.

W roku następnym 1857, nową Syrokomla odbył wycieczkę do Warszawy, a ztamtąd do Poznania i do Krakowa. Tu korespondencję naszą długa, bo aż trzy-letnia spotkała przerwa. W lutym dopiero 1860 r. odebrałem słów kilka cudzą ręką pisanych z podziękowaniem za mój artykuł w Tygodniku Ilustrowanym p. t. Załucze i Borejkowszczyzna. „Nie umiem (pisał) wyrazić ci mojej wdzięczności! takie rzeczy odmładzają człowieka!” W parę potem miesiący nieco obszerniej się rozpiisał, a w liście tym, w którym się także cudzą ręką musiał posługiwać, godny uwagi ustęp następnym: „Obłożnie jestem chory. Od kilku tygodni artrytyzm złamał mi nogi, a teraz i do rąk się dobiera. Cierpię, ale przywykłem cierpieć; przeżyłem srogie katusze ducha, spodziewam się przeżyć i chorobę ciała, bo w obecnej chwili wcale mi się umierać nie chce. Może to obez władnienie ducha, może i ta choroba, skutkiem jest tego, com przecierpiał; ale nie lubię tej kwestyi rozważać, bo za témby poszło ostateczne zwątpienie w ludzi, a tém samém śmierć moralna. Mój drogi bracie! ty co od lat tylu znasz każde drgnienie mojego serca, teraz z boleścią patrzyłbyś na mnie bolejącego! Kiedym wrócił z zagranicy, naprzód dotknął mię cios osobisty, o którym kiedyś szerzej ci powiem, potem śmierć ojca, a nakoniec pewne smutne objawy w życiu publiczném. Na mój słaby organizm tych trzech ciosów było aż nadto. Rzuciły mię na łóżko, z którego rok już trzeci rzadko kiedy powstaje. Choroba przybiera formy rozmaite: to splinu i melancholii, to niewiary i ironii, to nakoniec jak teraz, prozaicznego artrytyzmu. Ale dajmy pokój takim głupstwom jak cierpienia duszy... Więc twoja żona czytała moje listy od lat tylu do ciebie pisane?! A mocny Boże! czyż może mieć dobre wyobrażenie o tej głowie, która, jak chorągiewka na dachu, nieustannie się kręciła? Tyle przynajmniej treści

wysaczyć z nich mogła, że w biednych moich piersiach jest serce, które umie kochać”.....

W następnym liście (ostatnim!) z dnia 1 maja r. b. pisze własną ręką między innymi: „Przeszły rok fatalnie dla mnie upłynął! Na początku wiosny wyjechałem do Warszawy; potem byłem w więzieniu; potem chorowałem bardzo niebezpiecznie, a mając wzbroniony przyjazd do miasta, najokropniej przemęczyłem się do pół zimy w Borjowszczyźnie. W lutym wyzwolony napowrót do Wilna, więcej w łóżku, niż na nogach, niezdolny jestem do żadnej ważniejszej pracy. Kollaboracya przy Kuryerze wszystkim mi czas zabiera. Pytasz gdzie się podziała przyjaźń nasza tyloletnia? Przyjaźń ku tobie żyje we mnie, i śmiem spodziewać się nie jest bezwzajemną. Spytaj raczej gdzie się podziała dola nasza, i ta potrzeba, ta serdeczna chętka otwierania wnętrza piersi? Dzisiaj człowiek jak żółw, lub jeź, radby się najchętniej przycisnął w swoim pokrowcu. Nie sądź mnie, nie krzywdź wątpliwością, przebac milczenie, które pochodzi z tą, że dobrem czem dzielić się nie mam, a złem nie chcę”...

To były ostatnie Syrokomli wyrazy do mnie zwrócone; to jest ostatnia kartka tej świętej dla mnie księgi przyjaźni, jaka przez lat przeszło dwadzieścia z listów jego urosła. Przebiegłszy ją tchem jednym od pierwszego do ostatniego wiersza, dla sprawienia sobie rzewnej pociechy po stracie przyjaciela, z razu myślałem, że pisząc o nim wspomnienie, poprzestanę na kilku, lub co najwięcej kilkunastu z tego zbioru wyjątkach; aż oto takem się przy tej pracy rozmarzył, takem się dał owładnąć urokowi wspomnienia, takem się rozmiłował w każdym wyrazie kreślonym drogą tą ręką, z której uściskiem już się nigdy nie spotkam, że mimowoli notując niby co najważniejsze z owych listów ustępy, kilka arkuszy niemi zająłem. Teraz myślą już zimną notatki te ogarniam i pytam siebie: czyliżby tylko dla mnie miały być one tak pojętne? czyliż kraj cały nie przebiegnie ich z równem, jak ja, zajęciem? czyliż każde serce pocziwe z rzewną lubością nie wpatrzy się w obraz duszy tej prostej, naiwnej, która w tych listach tak wiernie się odbija? Ubliżyłbym i czi naszego wieszczą i wszystkim zacnym

współziomkom, gdybym przypuścił, że ja pod tym względem wyjątek jakiś stanowią; a więc nic nie zmieniając w moich notatkach, skarbem tym z całym krajem się dzielę. Nie życiorys to jeszcze, materyał tylko do niego; lecz bez wątpienia materyał ze wszech miar zajmujący i dość obfity. Z niego już łatwo powziąć ogólne wyobrażenie o charakterystyce naszego wieszca. Jako człowiek, czuły, prosty, serdeczny, pełen naiwnej wiary i miłości bez granic, charakteru prawego, ale miękkiego, cierpiał w swém życiu wiele, głęboko, nie dlatego, żeby naprawdę ludzie mu wiele złego zrobili, żeby zbyt ciężkich, a częstych zawodów od nich doznawał; ale dlatego, że im silniej kochał, im mocniej wierzył, tém téż drażliwszym był na lada obojętność, na lada nieszczerzość swoich współbraci. Tak téż i skargi jego trzeba uważać; bo zresztą ogół umiał go cenić, umiał wielbić i kochać. Mało kogo z naszych pisarzy spotkało tyle co Syrokomłę uznania, tyle najrozmaitszych hołdów. Nie mówię już o tém, że ze wszystkich stron kraju biegły doń listy od literatów i nieliteratów, literatek i nieliteratek, z wyrażeniem uczuć najprzyjaźniejszych; lecz ileż to razy na cześć jego wyprawiano owacy, ile serdecznych złożono mu pamiątek! (Jedną z najmiłszych był srebrny puchar nadesłany niewiadomo przez kogo z napisem: *Za poznanie publiczności z Jankiem Cmentarnikiem*), Krytyka nawet mało cierni przydała do tego kwiecica, którym ogół narodu wieńczył skroń ulubieńca swojego. Jako pisarz, pełny wysokich umysłowych zdolności, wszystkie skarby nauki sam sobie zawdzięczający, obdarzony wysokim poetyckim talentem i wielkim zamiłowaniem do studyów poważnych, pracował wiele, namiętnie, żył pracą i dla pracy, pieśnią i dla pieśni; a choć w ostatnich czasach nie mógł prawie nastarczyć księgarskim i dziennikarskim zobowiązaniom, niepodobna przecież powiedzieć, że pisał dla pieniędzy; bo gdyby odeń i darmo, również natarczywie pieśni proszono i darmo nie umiałby odmówić:

Bo kogo na świecie słowikiem stworzono,

Ten śpiewać musi.

A zresztą nigdzie i nigdy nie odstąpił od raz przyjętych zasad, do końca im wierny pozostał; wierzył popro-

stu, jak ojcowie wierzyli, czcił sławną przeszłość swego narodu, kochał ojczyznę, kochał wszystkich współziomków; a jeśli częściej szlachtę zagonową i kmiotków opiewał, to dlatego tylko, że znał ich lepiej i że cierpiący i uciśniony ma pierwsze prawo do współczucia naszego. Ubogim był, mimo całą swą wziętość, lecz przed nikim nie zniżył ani pieśni, ni głowy:

Hardy lirnik wioskowy  
Skonał grając na lirze!

Owruca, d. 25 września 1862 r.





MM\_

F  
7627









F.  
7627

